

# Rybi płacz

Autor: Jacek Józwiak

O zanikającym już morskim rybactwie łodziowym. O pewnym starym i pięknym szyprze i jego codziennym dniu oraz o złej kondycji morza i rybackiej branży. Także o tym, że się nie porzygałem na rybackiej bezpokładówce.

To jeszcze nie ta siła, nie ten żywioł, choć grzbiety fal już się pienią, już się grzywaczą. Morze nie ma siły wyrzucić bursztynów. Ale śnięte węgorze leżą już na strądzie. Na wpół zgniłe - trzeba długi czas grzebać patykiem w rybim truchle, aby dojść, gdzie łeb, gdzie ogon...

Od sopockiego do orłowskiego mola idzie się plażą trzy kwadransy. Kiedy usiłuje się policzyć rybnie zwłoki, droga ta zabiera trzy godziny. Ile ich było? Te sto pięćdziesiąt sztuk to przecież nie wszystko... Sto pięćdziesiąt śniętych węgorzy, każda ryba wymiarowa, zgnilizna ociekająca tłuszczem. Co najmniej siedemdziesiąt kilo wyborowej ryby nie trafiło na stoły. A to tylko trzy, góra cztery kilometry wybrzeża. W miejscowych wędzarniach za kilogram węgorza winszują sobie i 70 zł. Drogo - i tym droższy staje się ten odcinek plaży. Siedemnaście milionów gnije na piachu.

Alojz nie chce, by wymieniać go z nazwiska - gdzieś mu się zapodziała rybacka duma. Rzuci to szyprowanie, bo ma dość patrzenia na rybi płacz, na żoniną twarz, gdy przychodzi do płacenia rachunków. Idzie koniec - rybactwo z małych kutrów bezpokładowych nie zapewnia już pieniędzy na życie. Alojz jest rybakim z rybaków, zestarzał się na morzu, stylu życia nie zmieni, turystów wozic nie będzie po Zatoce. Nie honor dla Kaszuba, dla szypra, dla człowieka, który nie dał się Bierutom i kutra na szopę nie przerobił, przy odwilży gomółkowskiej spod dachu go wyprowadził i żył godnie przez dwadzieścia pięć lat. No, z tą godnością to może przesada, bo zemścił na komunę, na "Centralę Rybną", na Gomułków, Gierków, Jaruzelskich. Ale przecież z rybactwa żył. Jak szyper, jak pan. Koniec idzie - nie będzie Alojz rzygowin po turystach wycierać, więc szuka kupca na bót, o wożeniu lądowych szczurów ani myśli. Chyba kupca znajdzie, bo łódź ma piękną...

\* \* \*

Druga w nocy. Ciemno i deszcz. W kilku boksach na przystani świecą żarówki. Wiesiek, ostatni pomocnik Alojza, kończy ładowanie pustych skrzynek. Za moment zacznie się stękanie - mimo że wyciągarka zwlekła kuterek z plaży aż za linię przyboju, to wypchnięcie łodzi na wodę nie jest zadaniem prostym. Pomagają nam inni rybacy...

Wreszcie bót huśta się na fali. Głosu nie słyszę, ale po gestach widzę, że moja kolej. Brnę przez bałwany, nalewa mi się do woderów, chwytam się burty, obrywam okuciem w zęby i jakoś wdrapuję się do środka. Rybacy uśmiechają się przez deszcz. Wiem, że czekają, aż się porzygam, fiknę kozła na śliskich od rybiego śluzu deskach albo - co najmniej - siądę na dechcie i wpiję się kurczowo w dolbóm, czy złapię oburącz za frómburtę... I nie będę przeszkadzał w robocie. Wiesiek odpycha się paczeną, długim dębowym wiosłem. Alojz pilnuje silnika i steru. Łódź odsysa się wreszcie od piachu. Idziemy w morze. Klęczę na przedniej ławie, deszcz siecze mnie po oczach. Północno-wschodni wiatr dopiero zaczyna rozhuśtywać morze. Na taki wiatr mówi się "mordewind" - gdyby łódź była odrobinę dłuższa, brałaby dziobem wodę. Nie bierze - pomorscy skutnicy znali doskonale długość bałtyckiej fali i tak "stawiali bóty", żeby mieściły się swobodnie między kolejnymi grzbietami. Rybacy wyływają na zatokę, gdy stan morza nie przekracza "piątki" w skali Beauforta przy "mordewindach". Przy wietrze od lądu można wyjść w morze nawet przy "dziewiątce". Dziś "mała trójka".

- Może nawet nie ma trzech - Alojz przekrzykuje głos morza i terkot silnika. A ja przechodzę na rufową ławę. Tam mniej kiwa. Staram się nie dać rybakom satysfakcji i na małpio ugiętych kolanach leżę bez trzymania na tył łodzi. O mały włos nie wypadam za burtę... Motor pracuje na pełnych obrotach. Do sieci tylko pół godziny drogi. Brzeg ginie za strugami deszczu, z przodu błyska światełko pławy wyznaczającej farwater. Czuję smak morza - dżdżu spływającego z wąsów, spalin z rury wydechowej piętnastokonnego silnika i wczorajszej kolacji. Mocno kiwa...

\* \* \*

- A to, co się dzieje ze środowiskiem naturalnym, to zgroza prawdziwa - Alojz może tak mówić, w jego ustach nie brzmi to jak przedwyborczy banał. On widział śmierć na Zatoce, słyszał rybi płacz, oglądał puste sieci. I teraz plajtuje.

Wspominamy - ja czas, gdy w każdej nadmorskiej miejscowości smaźalnie oferowały po kilkanaście gatunków ryb złowionych przez polskich rybaków, gdy w Jelitkowie studenci sztuk pięknych ustawiali sztalugi, by tak jak Manet i Gauguin malować rybackie łodzie na piasku... Dziś w słynącej niegdyś z rybactwa dzielnicy Gdańska została bodaj jedna łódź. W Brzeźnie nie ma żadnej, w Sopocie aktywnie łowi pięć, w Orłowie cztery. Załogi - jak kutry - starzeją się. Powymierali skutnicy, rybakom sił nie staje. Młodzi nie garną się do zawodu, dzieci nie pływają z ojcami. Praca niby na własny rachunek, ale ten reżim dnia (i nocy), wysiłek, niepewność jutra, brak stabilizacji, bandyckie ceny i chyba trochę brak inicjatywy samych rybaków - odstręczają od tego fachu.

Alojza na brzeg przygnała wojna - wyzwalał Gdańsk, był ranny w brzuch. Przeszedł rekonwalescencję, ale do boju już nie ruszył. Skończyła się wojna. Kiedy tworzono podwaliny pod polską Marynarkę Wojenną, ZSRR przekazał nam 37 okrętów. Z całej armii ściągnięto wszystkich, którzy choćby widzieli morze. Alojz, Kaszuba przecież, oddelegowany został na ścigacze, na których przez dziesięć lat dochrapał się starszego bosmana. Tuż przed odwilżą w pięćdziesiątym szóstym zwolnił się z marynarki. Miał dość podejrzliwych spojrzeń, wezwań do politruków, szykan i wyzywania od Niemiaszków. Trafił do "Arki", potem do "Dalmoru". Poznał łowiska Morza Północnego, uczestniczył w zwiadach operacyjnych na Atlantyku i Morzu Ochockim. Ale kiedy tylko nadarzyła się okazja - w sześćdziesiątym pierwszym - kupił łódź. Minęły czasy bronowania strądu i stawiania zasieków na plażach. I choć większość rybackich botów rozeschła się albo zgniła, to skutnicy nie zapomnieli o swoim fachu. Odbudowywanie rybackiej floty przybrzeżnej następowało równoległe z dewastowaniem środowiska i przetwórstwa ryb.

- Dawniej w każdym PGR była przetwórnia, były puszki. Wszędzie dymiły prywatne wędzarnie. Rybę się szanowało i potrafiło ją zagospodarować. A było to w czasach, gdy Zatoka pachniała rybą, a nie szambem i w czasach, gdy ryba szła w sieć...

Przypominam Alojzowi, że w ostatnich latach może robi się czystsze, że już zamknięto w tym roku niewiele kąpielisk.

- Teraz to więcej w morzu letników niż ryb - mruknał ponuro. - W sklepach tuńczyki, anszuetki, norweskie łosose i ryby ze stawów, a moją flądę żrą norki i lisy. Ale i to niedługo, bo fermy jedna za drugą fikają.

Na oczach Alojza wyginęły niektóre gatunki. Nie istnieje już stado podstawowe certy, nie łowi się w Zatoce płoci, okonia, siei. Prawie zupełnie wyginął tu łosoś (troć wędrowna), dorsz wyemigrował na pełne morze, gdzie go dopadli i potężnie wytrzebili rybacy z "żelatniaków". Nie trafia się już wszechobecny niegdyś szczupak, zapomniano o sandaczu. Trójmiasto stoi flądą - to 90 proc. przybrzeżnych połowów.

\* \* \*

Przelazłem na dziób. Przywykłem nieco do niezrównoważonego zachowania się łodzi, żołądek opadł na swoje miejsce. Wiesiek wyciągnął przed sekundą bojkę oznaczoną chorągiewkami. Wybiera - ryb niewiele i drobne. Fląderki trzepocą się, przeskakując przez burtnicę. Rybak otrząsa sieć - w jej okach pełno racicznicy, niewielkiego małża o czarnej muszli. Sieć zastawna, z kaszubska zwana neta, ma około pięćdziesięciu metrów, tyle ile wbite na plaży linie słupków do suszenia. Jeden zestaw to kilka, czasem kilkanaście siatek powiązanych razem i rozpiętych między bojkami. Wiesiek stoi miękko i swobodnie na podskakującym pokładziku i zbiera metr za metrem. Próbuję podciągnąć sznurek nety - przed kąpielą ratuje mnie wzdłużnik prawej burty, który przytrzymuje mi stopy. Ta pozorna swoboda rybaka tkwi w sękatych mięśniach wyrobionych kilometrami wybieranej sieci. Ale nawet on nie wyciągnie całego zestawu. Zamienia się z szyprem, siada przy sterze. Będzie pilnować, by neta nie wkręciła się w śrubę.

- Mało!!! - Drę się do Alojza.

- Wszyscy pływają dalej!!! - Odwrzaskuje szyper. - I my jutro popłyniemy. Woda ciepła przy brzegu, flądra poszła na głębię. Zostały tylko te knotki.

Pierwszy zestaw wybrany. Idziemy do drugiego. Stracił bojkę końcową - pewnie jakiś statek urwał, blisko stąd do głównego toru.

Znów błyskawiczne ruchy rybackich dłoni, znów trzepoce się flądra. Na zaparowanym zegarku szósta - według wskazówek słońce już wysoko. Ale w strugach deszczu nic jaśniej. Nety wybrane, żaków nie będą dziś ruszać. Przy północno-wschodnim to zbyt ciężka i niebezpieczna robota. A węgorz w żaku długo żywy wysiedzi, może poczekać na Westę, wiatr od zachodu. Robimy zwrot - czuję się już jak stary wilk morski. Ostry rozkołys i już po zwrocie. Spokój, wiatr z tyłu, zwany przez Wieśka "analwindem". Fajnie jest.

Mogę stać bez trzymania się czegokolwiek. Luz i szpan. Szyper dostosował prędkość łodzi do szybkości fal. Bocik nie skacze - opada łagodnie w dół, unosi się powoli. A deszcz siecze w kapuzę sztormiaka. I znów żołądek przemieszcza się w górę. Połów mizerny. Może pięćdziesiąt kilo drobnej fląderki. I JEDEN mały śledź, kilka dorszyków wielkości jazgarzy i samotny turbot, płastuga wielkości cygańskiej patelni, ryba tłusta i smaczna nad wyraz. Alojz mawia, że w turbocie siedemnaście smaków drzemie - inaczej pachnie od ogonka, inaczej ode łba, odmiennie po bokach, od spodu, wierzchu... Wiesiek wyplątuje ryby z sieci - aż dziw, że te wielkie łapska nie drą na strzępy cieniutkich nitek. Klap, klap - padają flądry do plastikowej skrzyni. Przy spokojnym wietrze od morza przy brzegu zalegają stosy gnijących glonów. Zatoka jest tak bardzo użyźniona przez rolnictwo i fekalia, że trudno jest łowić w sieci ciągnione. Nie sposób ich wybrać - zawieszają się tony zieleniny. Obumierające glony wydzielają masę siarkowodoru. Na Bałtyku na pewnych obszarach i głębokościach całkowicie zanikło życie biologiczne. Strefy martwicy siarkowodorowej powiększają się szybciej niżli ozonowe dziury nad kręgami polarnymi.

- Władze są ślepe i głupie - puka się w czoło Alojz. - Jakby w ogóle nie myśleli. A nie myślą, bo jedzą mało ryb morskich. Czy pan wie, że flądra, gdy zgnije na strądzie i się wysuszy, to w nocy świeci? Fosfor! A fosfor zasila szare komórki. Ja to bym ministrów pał moimi flądrami, żeby o morzu pomyśleli... Ja jem dużo ryb, więc głupi nie jestem. Bót sprzedam w cholere i będę żywił się do śmierci wołowiną. Bo bez łodzi mądrość mi niepotrzebna.

Alojz odprowadzi mnie na pociąg. Zrobi się nam głupio, gdy sam siebie nazwie "śmierdzącym rybakiem". Jakby nie mógł zapomnieć wczasowiczów, którzy z niesmakiem krzywią nosy przechodząc obok ostatnich botsteli na trójmiejskich plażach. PS. Kaszubskim określeniom pozostali wierni nieliczni rybacy. Jeszcze tylko "Helacy" stosują kaszubskie nazewnictwo. Tych kilku wyrażen zawartych w tekście szukaliśmy z Alojzem przez godzinę. Botstela to miejsce na plaży, gdzie wyciąga się łodzie, dechts to ława środkowa, dolbom to burtowa mocnica, fromburta to wewnętrzny wzdłużnik mocowany na wręgach, strąd to plaża, bót to kuter...